

Mariusz Zwoliński

Vandersteen
rzadko gości
na łamach
czasopism hi-fi. A szkoda,
ponieważ produkuje niezwykle
ciekawe kolumny. Ewenementem
jest choćby to, że większość konstrukcji
liczy sobie ponad 30 (!) lat. Innymi słowy,
powstały w czasach, gdy szczytem polskiej
myśli technicznej były Altusy. Wprawdzie kolumny
Vandersteena różnią się od wrześnieńskich,
ale i tak przy współczesnych konstrukcjach
wyglądają jak żywe dinozaury.

Desmond i dinozaury

Vandersteen 3A Signature

Ciała oferta amerykańskiej manufaktury składa się z kilku modeli podłogowych, monitorów, głośników centralnych i subwooferów. Oczywiście dwa ostatnie powstały stosunkowo niedawno, ale testowanemu dziś 3A stuknęły właśnie trzy dychy.

Z tej okazji Richard Vandersteen, założyciel i główny projektant firmy, postanowił je nieco zmodernizować i wypuścił wersję Signature. Od pierwowzoru różni się przetwornikami oraz zwrotnicą. Właściwie są to zupełnie nowe kolumny w starych obudowach, ale posiadacze poprzedniej wersji za symboliczną kwotę mogą dokonać upgrade'u.

Dlaczego dopiero teraz doczekały się zmian? Richard Vandersteen wychodzi z założenia, że jak coś od początku jest dobre, to przetrwa próbę czasu, a wszelkie cząstkowe modyfikacje przyniosą więcej szkody niż pożytku. Można z nim co prawda polemizować, ale po przesłuchaniu „trójek” muszę mu przyznać rację.

Budowa

3A Signature zajmują środkową pozycję wśród podłogówek Vandersteena. Przed nimi w cenniku występuje model 1C i 2Ce Signature II, a wyżej znajdziemy Quatro, 5A i Seven. Nie pytajcie mnie, gdzie się podziała „szóstka”. Poszczególne modele różnią się gabarytami, ilością i sposobem aplikacji przetworników, jednak ogólne zasady ich budowy są wspólne.

Vandersteeny 3A Signature różnią się od wszystkich kolumn, z jakimi miałem do tej pory do czynienia, i zapewne od wielu, które jeszcze przewiną się przez mój dom. Zaczę od tego, że są nierozbieralne. W ogóle. Obwąchał je nasz redakcyjny fotograf, obwąchałem ja, obwąchał mój wścibski audiofilski kot i żaden z nas nie znalazł sposobu, by dostać się do środka. Jedynym sukcesem było odkręcenie metalowej płytki z gniazdami, ale i ta droga okazała się ślepym zaułkiem. Dlatego też, opisując budowę 3A, posłużyłem się mym przenikliwym wzrokiem oraz informacjami producenta.

Z odległości kilku kroków Vandersteeny są smukłymi prostopadłościanami, obciążonymi ze wszystkich stron elastyczną tkaniną. Dopiero spojrzenie przez nią pod światło pozwala dostrzec zarysy właściwej obudowy. Rozwiązanie to ma jedną poważną zaletę i dwie jeszcze poważniejsze wady. Pozytywem jest spokojny i harmonijny kształt, który może się spodobać nawet przedstawicielkom płci pięknej, krytycznie patrzącym na kolejne graty w domu. Gdyby obudowy wystąpiły bez maskownic, stawiam dolary przeciw orzechom, że żadna, nawet najbardziej tolerancyjna towarzyska życia nie powitałaby ich z otwartymi ramionami.

A wady? Pierwsza to wrażliwość na wszelkie pyłki fruujące w powietrzu, które po wylądowaniu na czarnej tkaninie natychmiast rzucają się w oczy, jak członek Ku-Klux-Klanu na zjeździe Czarnych Panter. Druga niedogodność dotyczy zwierząt domowych. Mój high-endowy kot Desmond, który zazwyczaj wykazuje znacznie większe zainteresowanie kartonami po sprzęcie niż ich zawartością, od razu zaciekawiał się Vandersteenami. Na swój sposób, niestety, bo po gruntownym obwąchaniu narożników doszedł do wniosku, że trafił mu się doskonały drapak do ścierania pazurów. Tylko błyskawiczna reakcja uchroniła mnie od przykrewnej rozmowy z dystrybutorem, ale przez cały pobyt u mnie, oczywiście oprócz testów, dolna połowa kolumn była owinięta kocami. Zbyt pięknie to nie wyglądało, więc wskaźnik WAF (Wife Acceptance Factor) zszedł do wartości poniżej zera. Wróćmy jednak do tematu.

Obudowy „trójek” mają kształt smukłej piramidy schodkowej, gdzie najwyższy sto-

pień kryje w sobie kopułkę wysokotonową, środkowy – głośnik średniotonowy, a dolny tworzy skrzynię rezonansową dla pary wooferów.

Wysokie tony przetwarza calowa kopułka ze stopu metali, chłodzona ferrofluidem. Nigdzie nie znalazłem składu membrany, ale mniemam, że nie jest z żeliwa. W jednej komorze z tweeterem umieszczono pokazny głośnik średniotonowy, który został ciut wysunięty do przodu oraz skierowany do góry. Zabieg ten miał na celu wyrównanie czasowe obu przetworników. Polimerowa membrana ma aż 11,5 cm średnicy i pracuje w wyjątkowo szerokim paśmie – od 600 do 5000 Hz.

Na środkowym piętrze, w niewielkiej zamkniętej odgradzie, pracuje pierwszy z pary głośników niskotonowych. Górny 20-cm woofer pokrywa pasmo 35-600 Hz. Na jego wysokości, bezpośrednio na tylnej ścianie obudowy, umieszczono dużą płytkę drukowaną, na której zamontowano zwrotnicę. Tworzy ją układ 1. rzędu ze spadkiem 6 dB na oktawę.



Regularna, prostopadłościenna forma nie powinna budzić kontrowersji.

Drugi głośnik basowy, a właściwie sub-basowy, o średnicy 25 cm, zaanektował dolną komorę, sięgając połowy wysokości kolumny. Dla odmiany skierowano go do tyłu, co nie ma akurat większego znaczenia, bowiem superwoofer pracuje w bardzo wąskim zakresie 26-35 Hz. Ścianki najniższej komory wzmocniono poprzecznymi węgami, zaś jej wnętrze, podobnie jak pozostałych, obficie wytłumiono wełną.

Po odwróceniu kolumny ujrzałem zaciski głośnikowe, które byłyby obelgą nawet dla chińskiego chałupnika podrabiającego Altusy. W charakterze high-endowych terminali głośnikowych wystąpiły zwykłe śruby metryczne, wkręcane w nagwintowane gniazda. Na dodatek umieścimy w nich wyłącznie niezbyt szerokie widelki albo gołe druty, a ich rozstaw wymusza na użytkowniku zastosowanie podwójnego okablowania. Wyjściem awaryjnym mogą być zworki z kilkucentymetrowych odcinków kabla głośnikowego, najlepiej zaopatrzone w widelki

**Moduł
wysoko-średniotonowy
wygląda jak minimonitor.**



**Kto ma rentgen w oku,
dostrzeże to i owo
pod maskownicami.**

Tuż obok gniazd znalazłem dwa pokręta służące do regulacji wysokich i średnich tonów. W wyższych modelach znajdziemy w tym miejscu trzecie pokrętko obsługujące bas. Czy to się aby nie kłóci z purystycznym podejściem do sprzętu, w którym największym złem są właśnie regulatory barwy dźwięku? Otóż nie.

Mysłą przewodnią, która towarzyszyła Richardowi Vandersteenowi przy konstruowaniu kolumn, jest maksymalizacja spójności fazowej w miejscu odsłuchu. Służyć temu mają trzy rozwiązania: regulatory poszczególnych podzakresów, cofnięcie głośników wysoko- i średniotonowych oraz stalowe stelaże, na których wspierają się kolumny. Poza izolacją od podłoża odchylają one obudowy do tyłu pod pewnym kątem, optymalizując zgodność fazową i czasową zespołów głośnikowych. Stopień odchylenia od pionu można regulować, a zależec on będzie od odległości kolumn od miejsca odsłuchowego oraz wysokości słuchacza.

Upredzając fakty dodam, że warto się przyłożyć do ich właściwego ustawienia.

Konfiguracja

Vandersteeny 3A Signature nie są kolumnami, które będą ot tak sobie współpracowały z dowolnym wzmacniaczem. Zalecana moc powinna się wahać w zakresie 100-200 W (przy ośmiu omach), ale nie trzeba podchodzić do tego z aptekarską dokładnością. Z drugiej strony, podłączenie do nich 30-watowego piecyka mija się z celem. Żeby nie kombinować jak koń pod górkę, poprosiłem dystrybutora o sugestie dotyczące sprzętu towarzyszącego. W odpowiedzi dostałem dwa kartony, zawierające zestaw Ayre Evolution: odtwarzacz CX-7 i wzmacniacz AX-7. Też dobrze.

Wszystkie urządzenia zostały połączone kablami Nordost Red Dawn, a prąd z gniazdka dotarł do nich Neelami N14E Gold. System stanął w pokoju o powierzchni 20 m², która jest absolutnym minimum, na jakie może sobie pozwolić potencjalny posiadacz 3A. Jeżeli nie dysponujecie takim pomieszczeniem, a po lekturze tego testu postanowicie poważnie się zainteresować amerykańskimi kolumnami, możecie rozważyć kupno niższych modeli. Na Audio Show 2009 słuchałem 2A Signature II, grających z niemal identycznym zestawem Ayre i w ich brzmieniu odnalazłem wiele elementów obecnych w recenzowanym dziś modelu.

**Głośnik średniotonowy
odchyłono do góry,
zmniejszając tym samym
niezgodność fazową.**



Wrażenia odsłuchowe

Przed rozpoczęciem formalnych odsłuchów przez dobry tydzień wygrzewałem odtwarzacz, wzmacniacz i kolumny. Następnym etapem było przesłuchanie odtwarzacza i wzmacniacza w różnych układach i konfiguracjach tak, by w miarę dokładnie poznać ich charakter. I wreszcie, pewnej pięknej soboty, uzbrojony w nabytą wiedzę, notatnik, stertę płyt i dzbanek herbaty z cytryną, po wyeksmitowaniu kota z pokoju, przystąpiłem do pracy.

Pierwszym, co uderzyło mnie w uszy, była fenomenalna budowa sceny. Nazwanie jej holograficzną w pełni oddaje możliwości Vandersteenów. W nagraniach klasyki dosłownie widziałem podest z muzykami i tylko od jakości realizacji zależało, czy znajdowali się tuż przede mną, czy daleko za linią kolumn. Zmiany panoramy dźwiękowej następowały równocześnie ze zmianą krążków w odtwarzaczu, a różnice pomiędzy nagraniami były tak oczywiste, że zauważały je nawet postronne osoby. Identyfikacja źródeł pozornych nie pozostawiała najmniejszego pola do krytyki i tym jednym stwierdzeniem załatwił długie i kwieciste opisy, jak to dzwonki dzwoniły pół metra nad kolumnami, a odgłos bębna wielkiego dobywał się spod kaloryfera. W dobrze zrealizowanych nagraniach mogłem śledzić grę dowolnego instrumentu, np. klawesynu, niezależnie od reszty składu. Zresztą, spora w tym zasługa wysokich tonów. Były dźwięczne, bardzo detaliczne, a przy tym nienachalne i nie narzucały swojej obecności przełomowi średnicy.

Na szczególnie podkreślenie zasługuje prezentacja głosów. W nagraniach muzyki poważnej były wręcz namacalne. Pomijam oddechy i młasnienia, które dawały się niekiedy wyłapać, ale barwa, delikatna wibracja powietrza wokół artystów i jakaś ulotna aura, jaką wokół siebie roztaczali, powodowały, że nie sposób było oderwać od nich uszu.

W czasie odtwarzania audiofilskich płyt kolumny wyczarowywały prawdziwy spektakl. Nawet gdy na tacce odtwarzacza lądowały gorsze realizacje, system potrafił przekazać pełnię muzyki oraz sporą dawkę emocji. I jeśli do tej pory nie miałem żadnych zastrzeżeń do brzmienia Vandersteenów, to po zmianie repertuaru na nieco lepszy... było jeszcze lepiej.

O „Grand Piano” Włodka Pawlika moi koledzy napisali już tyle, że nawet nieorientowany czytelnik zyskał spore pojęcie o zawartości albumu. Ale „spore pojęcie” od prawdziwej wiedzy dzieli istotna różnica. Podobna dzieliła to, co usłyszałem „z konserwy” od koncertu, którego swego czasu miałem przyjemność być uczestnikiem. Co zaskakujące – na korzyść płyty. Wielkość i barwa instrumentu odpowiadała temu, co pamiętałem z występu, jednak

na nagraniu pomiędzy dźwiękami było znacznie więcej powietrza i jakiejś niezidentyfikowanej „czarnej substancji”, która wyraźniej podkreślała poszczególne dźwięki na tle z czarnego aksamitu. Dobrze grać ciszej to nie lada sztuka.

Podobne spostrzeżenia, dotyczące brzmienia fortepianu, zanotowałem po wysłuchaniu kilku nagrań Leszka Możdżera, solo i z towarzyszeniem sekcji rytmicznej. W drugim przypadku o palmę pierwszeństwa rywalizowały z fortepianem przeszkadzajki Zohara Fresco i chwilami to on stawał się postacią pierwszoplanową.

Dość ciekawie wypadło porównanie wokalistów „rozrywkowych” z „poważnymi”. W przypadku tych ostatnich były to chóry



Tak wyglądają high-endowe gniazda made in USA.

chwalące wielkość Pana, ale gdy z kolumn popłynął głos Cassandry Wilson śpiewającej „Blue in Green” Davisa, włosy stanęły mi sztorcem na głowie. I wcale nie chodzi o wzniosłość czy uduchowanie, lecz o magnetyzm, jaki roztaczała wokalistka. Oddechy oraz inne odgłosy towarzyszące śpiewaniu były czytelne jak na dłoni, zwiększając realizm nagrania, i nie musiałem nawet wysilać wyobraźni, by zobaczyć przed sobą ciemnoskórą gwiazdę, siedzącą na wysokim stołku barowym i śpiewającą tylko dla mnie.

Przerzuciłem kilka płyt z jazzem elektrycznym i akustycznym i za każdym razem odkrywałem jakąś podskórną energię drżącą pomiędzy bitami. Nie wiem, jak Richard Vandersteen to zrobił, ale muzykom autentycznie chciało się grać, wokaliści śpiewali z zaangażowaniem, a realizatorzy nagrań wyjątkowo przyłożyli się do pracy. Nawet stare nagrania, np. „Stella by Starlight” sprzed pół wieku, brzmiały tak,

jakby muzycy wczoraj spotkali się na sesji. Oczywiście, budowa sceny odbiegała od współczesnych realizacji, ale barwa instrumentów – miód.

Gdy sterta testowych płyt poważnie stopniała, a w dzbanku z herbatą ujrzałem dno, przyszła kolej na rocka. Dopiero wtedy 3A pokazały, na czym polega porządny bas. Pod względem rozciągnięcia podłogówki Vandersteena z powodzeniem mogą konkurować z najlepszymi subwooferami, natomiast pod względem kontroli i szybkości nie ustępowały monitorom. Podobnych wrażeń doświadczyłem, słuchając kiedyś KEF-ów Reference 205 (HFIM 11/05), które w moim prywatnym rankingu zajmują pierwsze miejsce pod względem jakości niskich tonów. Co prawda wpływ czasu może stępić niektóre wrażenia, ale wybitnych odsłuchów łatwo się nie zapomina. Podobny poziom reprodukcji basu prezentowały testowane właśnie kolumny i z ciekawością porównałbym obie konstrukcje. Na razie, wraz z brytyczkami, dzielą najwyższe miejsce na podium.

Ostatnią płytą, która brała udział w formalnym teście, była nieśmiertelna „Amused to Death” Rogera Watersa. Jeśli myślicie, że odtwarzając ją, brałem aktywny udział w muzycznym spektaklu, to jesteście „w mylnym błędzie”. Owszem, spektakl był, ale rozgrywał się przede mną. Trójwymiarowa scena wypełniła się wielobarwnymi odgłosami przyrody. Na ich tle Waters snuł swą opowieść, a ja zastanawiałem się, kim musiałbym być, by chimeryczny były basista Pink Floydów zgodził się przede mną wystąpić. I za jakie pieniądze.

Konkluzja

Opisując kiedyś kolumny Bose 901, zadeklarowałem, że kiedy przejdę na redakcyjną emeryturę, zajmą miejsce w moim systemie, a ja - zamiast analizować poszczególne dźwięki - resztę życia spędzę na słuchaniu muzyki. Po teście Vandersteenów 3A Signature moje twarde postanowienie zaczyna mięknąć. Muszę tylko odbyć męską rozmowę z kotem.

Vandersteen 3A Signature

Dystrybucja: Audiofast
Cena: 18100 zł

Dane techniczne

Skuteczność:	87 dB
Impedancja:	6 Ω
Pasma przen.:	26 Hz – 30 kHz
System:	trójdrożne, zamknięte
Rek. moc. wzmac.:	100-200 W
Ekranowanie:	brak
Bi-wiring:	tak
Wymiary (w/s/g):	122/41/32 cm
Masa:	40,5 kg

Ocena

Brzmienie: hi-end